

Symcha Keller: Dla moich braci i sióstr

W KALEJDOSKOPIE 11/2017 ukazał się wywiad z Symchą Kllerem, który przypominamy na naszym portalu.

Od rockmana do rabina, czyli tam i z powrotem

Justyna Muszyńska-Szkodzik: - Podczas festiwalu Łódź Czterech Kultur w Klubie Scenografia mieliśmy okazję posłuchać starych chasydzkich pieśni w pana interpretacji z nowej płyty „Bramy”. Przez jakie „bramy” prowadzi nas Symcha Keller w tej muzycznej opowieści?

Symcha Keller: - Mój kolega z Izraela śmieje się, że ta płyta powinna być zatytułowana „Od rockmana do rabina i z powrotem”, podobnie jak opowieść o Hobbicie. Moja droga przypomina przekraczanie różnych bram - najpierw był zespół rockowy Katharsis, potem pochłonęły mnie obowiązki rabina, przewodniczącego Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Łodzi, a teraz w muzyce wracam do rockowych i reggae'owych brzmień. Nagrałem dwupłytowy album. Pierwsza płyta jest mistyczna, ascetyczna, to hołd dla mojego nauczyciela Izaaka Froimowskiego, kantora łódzkiej synagogi, u którego uczyłem się prowadzenia modlitw. Na drugiej płycie powracam do grania tradycyjnej muzyki chasydzkiej, ale we współczesnych aranżacjach - z elementami reggae, rocka, a nawet punka, folku i szeroko pojętej world music.

Płytę nagrywał pan w styczniu w Radiu Łódź, teraz doczekała się ona albumowego wydania przez Universal Music Polska.

- Myślałem, że będzie to niszowe wydawnictwo, nie spodziewałem się, że największa wytwórnia płytowa wyprodukuje tę płytę i zajmie się jej dystrybucją nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Pięknie wydany dwupłytowy album „Bramy” z moimi przemyśleniami, tekstami mistrzów chasydzkich, urozmaicony materiałem zdjęciowym, np. z czasów Katharsis, gdy miałem włosy do pasa czy ze spotkania z papieżem Franciszkiem, od 15 września jest już w sprzedaży.

Odkrywa pan przed nami tajniki muzyki chasydzkiej, która w Polsce jest mało znana w porównaniu z popularniejszą muzyką klezmerską...

- Odcinam się od klezmerstwa, nie lubię i nie słucham tej muzyki, bo dla mnie ona trąci „cepelią”. W Polsce dużo kapel gra w tym stylu, zazwyczaj jest to muzyka wtórna. Ciągłe słyszy się te same nuty, układy dźwięków i ogląda ludzi przebranych w kapelusiki i kamizelki. Większości tych zespołów nawet nie tworzą Żydzi, bo Żydów w Polsce prawie już nie ma.

Co najbardziej fascynuje pana w muzyce chasydzkiej?

- Od lat związany jestem z ruchem chasydzkim, będąc zwolennikiem cadyka Aleksandra - to mój rebbe. Cały czas pozostaję pod wrażeniem tej mistycznej, bardzo głębokiej muzyki, mam prawie pół tysiąca chasydzkich płyt. Do albumu „Bramy” wybrałem oryginalne chasydzkie melodie, do których śpiewam starohebrajskie teksty. Słucham tej muzyki podczas spotkań religijnych, wieczorów szabatów, a potem odtwarzam w swoim stylu. Chasydzkie melodie często są anonimowe, były przekazywane ustnie, nie mają zapisu nutowego, co ma też swoje metafizyczne znaczenie, bo, jak powiedział cadyk z Sącza: „Muzyka nutowa jest muzyką papierową, ona nie dociera do najwyższych

komnat nieba”.

Chasydzi wierzą, że muzyka jest przepustką do raju, najprostszą drogą do Boga, a czym jest ona dla pana?

- Tym samym, choć staram się nie używać słowa „Bóg”, bo niestety ono w dzisiejszym świecie strasznie się zdewaluowało, niektórym kojarzy się już tylko z działaniami hierarchów kościelnych. Wolę słowo „Absolut”, które jest zrozumiałe i trafia do wszystkich. Jak nie ma dwóch takich samych osób, tak nie ma jednej drogi do Boga, ale można odkrywać swoją poprzez różne dziedziny - malarstwo, poezję, muzykę, taniec, śpiew, modlitwę, a nawet jedzenie. Myślę, że człowiek musi znaleźć formę wyrażania swojego wnętrza. Oczywiście niektórzy, a właściwie większość społeczeństwa w ogóle tego nie robi. Dlaczego? Z powodu różnych wewnętrznych blokad, braku zaufania do siebie, niewiary we własne siły, a przede wszystkim na skutek niszczenia w sobie przekonania, że każdy z nas jest człowiekiem niezwykłym. Chasydyzm był otwarty na wszystkich, to był taki hippisowski ruch XVIII-XIX wieku, który przetoczył się przez całą Europę - dużą rolę odegrał na Kresach, Podolu, w Rumunii, na Węgrzech. Dlaczego zdobywał takie rzesze zwolenników? Bo ludzie, którzy się garnęli do cadyków, usłyszeli w końcu, że są ważni. Rabin nie stwierdzał: „ty nie umiesz na pamięć Talmudu, więc dla mnie się nie liczysz”, tylko mówił: „człowieku, ty jesteś moim najukochańszym bratem”.

Nie odtwarza pan wiernie chasydzkich pieśni, ale nadaje im rockowy sznyt i sam mówi, że to łódzko-bałucko-chasydzkie brzmienie...

- Wróciłem do rockowych rytmów, bo one siedzą mi głęboko w sercu. Jest to mocna muzyka, z domieszką reggae, a nawet punka. Na płycie słychać bogate instrumentarium: dwie gitary, bas, akordeon, klawisze, ostrą perkusję, instrumenty smyczkowe, mój wokół i flet irlandzki. Druga płyta albumu „Bramy” jest trochę chuligańsko-prowokacyjna, śpiewam tam z lekką manierą odeską - rozleniwionego pana siedzącego w pubie przy piwie.

Chasydzki mistycyzm i chuligański aranż - to się nie wyklucza?

- Jestem gorącym zwolennikiem takiego łączenia. Dużo podróżuję po Europie, Irlandii, Izraelu, słucham bardzo różnej muzyki - od melodii Wikingów przez irlandzką do żydowskiej. Bardzo lubię world music - muzykę świata w połączeniu z folkem i punkiem. Ona jest uniwersalna, nie zawęża się do jednego obszaru kulturowego, jest otwarta.

Andrzej Adamiak, lider grupy Rezerwat, który jest producentem mojej płyty, mocno manewrował, aby było na niej jak najwięcej rockowego brzmienia, ja właściwie chciałem pójść w kierunku bardziej folkowym, więc wyszedł z tego kompromis - rock z folkem tworzy integralną całość.

Dlaczego szanowany rabin, przewodniczący Rady Religijnej Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP wraca do chuligańskiego grania?

- Człowiek musi podążać za głosem serca. Mój wielki autorytet, żyjący w XIX wieku Widzący z Lublina, mówił: „jeżeli słyszysz głos wewnętrzny, który ci mówi, że masz iść w tym kierunku, to nie zwlekaj, bo szkoda czasu”. Ważna dla mnie jest autentyczność, naturalność tego, co robię. Jak prawdziwy byłem 30 lat temu w zespole Katharsis czy innych formacjach muzycznych, i później gdy przez 25 lat byłem rabinem, duchownym, tak teraz jestem najbardziej sobą, grając po chuligańsku.

Za wybitne zasługi w działalności na rzecz dialogu polsko-żydowskiego został pan odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderem Odrodzenia Polski. Jest pan człowiekiem dialogu. Czy, obserwując dzisiejszą sytuację społeczno-polityczną, ma pan jakiś pomysł na powrót

do dialogu między podzielonymi Polakami?

- Nie ma na to pomysłu. Tu nie chodzi o politykę, to są sztuczne podziały. Kiedyś widziałem, jak pewien polityk skrajnej prawicy siedział z Urbanem, pił koniaczek i palił cygaro. Byłem w szoku, bo dwa dni wcześniej oglądałem w telewizji, jak się obrzucali inwektywami. Polityka to jest cyrk i teatr. Myślę, że najważniejszym zadaniem dla każdego jest po prostu robić swoje. Trzeba być otwartym wobec ludzi. Jeśli my na co dzień nie potrafimy podać ręki komuś, kto jest słabszy, to sobie nawzajem robimy piekło. Problem tkwi w każdym z nas, w mentalności dzisiejszego człowieka. Na szczęście na świecie są jeszcze miejsca, w których ta mentalność nie jest aż tak zniszczona przez falę komercjalizmu, pseudonowoczesnej cywilizacji, np. północne kraje: Irlandia, Norwegia, gdzie ludzie nadal są otwarci, serdeczni dla siebie. Poza tym jest bardzo dużo dobrych ludzi, którzy działają w stowarzyszeniach, fundacjach. Trzeba wspierać tych, którzy wychodzą do przodu z odważnymi inicjatywami, bo jeśli oni nie będą czuli wsparcia społeczności, to nie będą mieli siły przebicia. W Polakach drzemie wielki potencjał dobra, który objawia się, gdy trzeba komuś pomóc, tak jak po sierpniowych huraganach. Nas niszczy niepotrzebne zwracanie uwagi na hierarchów, przywódców politycznych.

Wychodzi na to, że potrafimy zjednoczyć się tylko w obliczu nieszczęścia. To marne pocieszenie...

- Brakuje nam w Polsce liderów, mistrzów, takich jak Jan Nowak-Jeziorański, Jan Karski czy ksiądz Józef Tischner, Jan Paweł II. Ich poglądy były jednoznaczne, z odwagą piętnowali pewne zachowania. W tej chwili nie ma takich ludzi. Tak samo w środowisku żydowskim, wielcy nauczyciele, tacy jak na przykład Chaskel Besser, odchodzą z tego świata. Nagle zostało nasze pokolenie, a za nami nie ma żadnego duchowego zaplecza. Zostaliśmy sami. Nie ma lidera, do którego można przyjść z pytaniem: „co mam robić”.

Pokolenie liderów, które odchodzi, dorastało w trudnych czasach wojennych i powojennych, nie było dotknięte skutkami konsumpcjonizmu...

- Trudna historia kształtuje charaktery, bo albo spycha ludzi w bagno, albo wynosi. Silne przeżycia są jak spotkanie z ogniem, ogień wypala i kształtuje. Pamiętam stan wojenny, byłem wtedy już bardzo aktywny społecznie. W Łodzi tworzyliśmy silną grupę opozycjonistów, ale nie traktowałem tej działalności jako bohaterstwa. Dla nas - młodych ludzi z długimi włosami, rockmanów, buntowników, naturalną sprawą było przeciwstawianie się tej zbrodni, bo stan wojenny był zbrodnią. Wtedy wyraźnie było widać, kto jest bestią, kto dobrym człowiekiem, a kto usadowił się pośrodku, aby przeczekać. Jednak ludzie byli razem, czasem tęskni się teraz za tą atmosferą wspólnoty. To był dobry czas dla kontaktów międzyludzkich.

Jest więc jakiś ratunek w tej sytuacji?

- Wszystkie narody, społeczności, które trzymają się swoich korzeni, mają większą szansę na przetrwanie. Bardzo lubię góry, zwłaszcza Tatry, jestem tatarnikiem, jak nie pojedę tam przez dwa-trzy miesiące, jestem chory. Gdy się patrzy na prawdziwych górali kaukaskich, Gruzinów, ale też Irlandczyków, od razu widać ich jednoznaczność, dla nich „tak” znaczy „tak”, a „nie” to „nie”. Od nich można się uczyć. Z drugiej strony zagrożeniem dla poszukujących ludzi są nacjonalizmy. Dla młodego Polaka, który szuka autorytetów, jednoznaczności, wszelkie „izmy” są kuszące, bo dają łatwe rozwiązania. Nie ma co oskarżać młodych ludzi, którzy dali się uwieść jakiejś ideologii. Trzeba zaproponować im coś innego.

Zawsze aktywnie działał pan na rzecz łódzkiej społeczności, nie tylko żydowskiej, niektórzy

nazywali pana „rabinem niepokornym” i krytykowali za zbytnią otwartość na inne wyznania. Co teraz planuje Symcha Keller?

- Zrezygnowałem z funkcji, które pełniłem w łódzkiej gminie żydowskiej ponad 20 lat. Odcinam się od tych aktywności. Jeszcze przez rok będę szefem Rady Religijnej Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP. Nie mam zamiaru kandydować na kolejną kadencję. Uważam, że ograniczanie się do jednej grupy wyznaniowej czy narodowościowej zawęża spektrum oddziaływania. Gdy działamy w obrębie tylko jednej religii, tracimy wspólny język z ludźmi z innych kręgów kulturowych. Wracam do swojej dawnej aktywności, otwartości z czasów zespołu Katharsis, bo zawężanie się w granicach jednego wyznania powoduje, że zaczynam się dusić. Chcę robić swoje i wracam do muzyki.

Jak się panu żyje w Łodzi?

- Wyprowadzam się stąd, mam dosyć Łodzi. Mam wrażenie, że to miasto nie szanuje swoich obywateli. Gdy skończyłem pracę w gminie, założyłem wraz z żoną Fundację Kellerów. Miałem pomysł, by robić tu festiwale multikulturalne. Otworzyć wielokulturowy pub, gdzie schodziliby się przedstawiciele dzisiejszych łódzkich mniejszości - Cyganie, Żydzi, Arabowie, Ukraińcy - i grali swoją muzykę. Miałem pomysł na organizowanie z nimi jam sessions, a potem nagrywanie płyt z wielokulturową muzyką. Poprosiłem urząd miasta o lokal dla fundacji i się zaczęło: albo proponowano mi różne wynajęte już miejscówki, albo zdewastowane pomieszczenia, w które na wstępie musiałbym zainwestować z pół miliona złotych. Po co mam tu zostać? Zwłaszcza że dostałem dwie propozycje z innych polskich miast, których nie wymienię. Tam od razu zaoferowano mi za darmo salę, miejsce na koncerty, spotkania i szeroką działalność.